

## ŚWIĘCI, BUDOWNICZOWIE POKOJU

*Święci. Budowniczkowie. Pokój.* Trzy równoznaczne pojęcia, wzajemnie uzależnione: świętość, konstruktywność albo zdolność budowania, i pokój jako budowniczy — zawsze w sposób nieunikniony występują razem tak, że człowiek miłujący pokój musi być świętym, budowniczy musi miłować pokój, a święty musi miłować pokój i być budowniczym.

Choć jest to niewątpliwe, nie dzieje się tak bez powodu; cechą szczególną świętości jest bowiem fakt, iż wszelka jej aktywność bierze początek z poprzedzającej tę aktywność bierności. Inaczej mówiąc: w odróżnieniu od bohatera autocentrycznego i prometejskiego, który twierdzi, iż sam daje sobie siłę, która zdaje się w nim brać swój początek, święty zawdzięcza swe działanie Świętości Najwyższej; a jest to działanie, które posiada tym samym wartość współuczestnictwa. W przypadku świętego, pierwszą kategorią jest kategoria uczestnictwa.

Dla chrześcijanina, Święty jest jedynie Pan: *Quia Tu solus Sanctus*, a świętość ogółu wiernych jest wspólnotą i udziałem w Jego Świętości. Rudowłósy Heros mógłby, być może, powoływać się na poziomą linię rodową, zaprawionych w bojach wojowników, albo rasy Tytanów, bądź na jakąś linię o świetlanych początkach, jednakże korzenie świętego sięgają Boskiego Stwórcy.

Chrześcijański święty nie jest więc *forçado* (by użyć terminu, jakim posługują się Portugalczycy), który musiałby gromadzić *opera supererogatoria*, by czuć się pełnym i wartościowym; jest człowiekiem zwykłym, prostym, człowiekiem dnia powszedniego. Kiedy traci się ten fakt z pola widzenia, nasi święci stają się świętoszkami, albo kukłami przypominającymi okrutnych piratów, bądź cukierkowych, piskliwych, różowiotkich głupków, tak niestety typowych dla niektórych twórców świętych obrazów.

Kim jest więc święty? To ten, kto oddaje się sprawie, która jest sprawą Świętego. Udziałem tego, kto się jej oddaje, nie jest jakiś czyn bohaterski, wspaniały wynik czy najwyższa ocena. Tylko Bóg jest Sędzią i tylko On wie, że ci, którzy są ostatni, skromni, pokorni i słabi, zajmą miejsce pośród świętych. Gdyby było inaczej, żaden grzesznik nie mógłby dążyć do osiągnięcia świętości.

Dążyć do świętości? Właściwie do świętości się nie dąży; to, do czego należy dążyć, to oddanie się sprawie Jezusa. Dążyć do

osiągnięcia świętości dla świętości, to popaść w zaprzeczenie świętości, której istota żywi się bezinteresownością. Świętość jest darem, jaki daje się temu, kto sam siebie oddaje Darowi. Może się to wydawać grą słów, ale wyraża prostą prawdę, że mianowicie rzeczywistość jest święta dla świętego, to znaczy dla tego, kto naśladuje Świętego.

Święty porusza się więc we właściwym kierunku, zmierza bowiem w stronę właściwego portu. Nie wiemy, jak to się dzieje, ale jeśli udaje się w tym kierunku, wówczas Bóg wpisuje proste litery w krzywe linijki jego życia. Jego pozorne „dekonstruowanie” (konstruowanie destrukttywne) w ostatecznym rozrachunku współdziała (nawet jeśli zachodzi to w tajemniczy sposób) na rzecz dobra i porządku kosmicznego. Jeśli nie jest się zdolnym do zrozumienia tego w ten sposób, konstruowanie stanie się synonimem skuteczności i panowania. Tak możni wszelkiego autoramentu (możni zbiorowi lub przekonani o swej subiektywnej przewadze) odczytują przysłowie o wilku trzymanym za uszy: darwinizm, albo makiawelizm.

Ale jeśli poważnie potraktujemy wartość bezinteresowności i nie pomylimy jej z tym, co zbędne, będziemy mogli udzielić kredytu zaufania i obdarzyć przyjaźnią tych wszystkich, którzy czują się *czymś więcej niż świętymi: uświęconymi czyli rozgrzeszonymi, odnowionymi, zbudowanymi*. W ten sposób można być świętym ufnie lub z wdzięcznością. Natomiast człowiek dumny, zaabsorbowany samym sobą, widzi siebie jako *Übermenscha*, nadczłowieka, który traktuje innych jako niższych od siebie, który twardo demonstruje swe mięśnie i w razie czego nie zawaha się przed okazaniem innym pogardy lub nawet przed wydaniem polecenia, by ich zabito.

Wynika stąd coś, co ma niezwykłą wartość, i co w żadnym razie nie jest pobożnym morałem, albo zwykłym skutkiem katechezy: bezinteresowną świętość należy budować właśnie z biednymi. I kiedy w historii pojawił się ktoś, kto chciał budować utopię „odgórnie”, w końcu budował ją wbrew tym z dołu. Natomiast Święty, w którego wierzą chrześcijanie, zniżył się kenotycznie aż do wyniszczenia i w oparciu o Krzyż zbudował święte królestwo z ostatnimi z ostatnich. Oczywiście, dopełnienie świętości będzie możliwe tylko jako doświadczenie *crucialis*, to znaczy jako doświadczenie wobec Krzyża Pana. Każde Błogosławieństwo znajduje swój głęboki wyraz w Krzyżu Zmartwychwstałego.

Ale nie oznacza to, iż święty jest cierpiętnikiem, człowiekiem smutnym. Hiszpańscy mistycy dobrze wiedzieli, że *człowiek smutny jest człowiekiem godnym politowania* i że świętość nie ma

nic wspólnego z kolorem fioletowym, choć również nie będzie porównywalna z permanentnym hahaha hihihi, tak typowym dla zachodniej burżuazji, która, nie wiedząc już jak ma żyć, stara się powrócić do *american way of life* podobnego do *korynckiego stylu życia*, który został napiętnowany i odrzucony jako nie mający nic wspólnego ze świętym doświadczeniem. Ani śmiech, ani płacz, ani czysto hormonalny optymizm czy pesymizm nie mają nic wspólnego ze świętością: należy być świętym i w płaczu i w śmiechu.

Często spotyka się opinię, że optymizm i świętość powinny iść w parze.

Tymczasem autentyczny optymizm polega na naśladowaniu Jezusa z Nazaretu, który pogodził głębokie doświadczenie polegające na ufnym nazwaniu Ojca *Abba* ze zdemaskowaniem tych, którzy w ten czy inny sposób wykazywali brak miłości bliźniego, choć utrzymywali, iż kochają Boga.

Podsumowując: optymizm świętych polega na doświadczaniu przez nich tego, co najlepsze, na tym, że są blisko Świętego. A najgłębszy, sataniczny pesymizm wywodzi się z bliskości anty-Swiętego.

Nie można tym samym dążyć do świętości budowania pokoju poza ramami sprawiedliwości. A ta oczywiście nie może być dla człowieka-świętego oddzielona od Królestwa Bożego i jego Sprawiedliwości. Po raz kolejny, choć z innego punktu widzenia, chodzi o kwestię Błogosławieństw. Sprawiedliwość błogosławionego jest najwyższym wyrazem tego, co najbardziej pełne wyrazu; sprawiedliwość jest wyrazem racjonalności, ale nie racjonalności rozumiejącej, która uwzględniłaby jedynie „racjonalność sprawiedliwą” (każdemu to, co jego) — bowiem tworzy ona, najczęściej „racjonalność wymierzającego sprawiedliwość” („oko za oko, ząb za ząb”) — ani nawet takiej, która uwzględniłaby jedynie racjonalność „wspólnotową” (każdemu według jego potrzeb, od każdego według jego możliwości), bowiem często się zdarza, że ludzie sprzeniewierają się jej poprzez jakiś równający do średniej „izm”, służący za schronienie dla złych, który staje się w końcu dokuczliwy dla dobrych. *Sprawiedliwość będąca dziełem pokoju i pokój wypływający ze sprawiedliwości* współgrają ze sobą tylko wtedy, gdy poprzedza je miłość osobista, nie ideologiczna, kiedy są potwierdzone poparciem Osoby, która pierwsza nas umiłowała, i to tak potwierdzone, że każde inne przekonanie opiera się właśnie na niej.

Jednakże, jeśli przekonanie jest głębokie, powinno odsyłać do głębi, do Tego, który czyni możliwą każdą późniejszą głębię. Z te-

go właśnie powodu *tylko święty może być człowiekiem naprawdę uniwersalnym*. Jeśli jego korzenie sięgają głębi, wszystkie szczególności nabiorą głębi. Być może, Franciszek z Asyżu wyczuł to intuicyjnie, mówiąc, że ten, kto posiada jedną cnotę, ma wszystkie, a ten, kto nie ma tylko jednej, nie ma żadnej; rozmaite cnoty są bowiem wyrazem głębi w człowieku (wyrażenie to pochodzi od Maxa Schelera, który tak sympatycznie — albo raczej sympatycznie — potraktował Franciszka z Asyżu w pracy, która nosi tytuł: *Istota i formy sympatii*), a przywary — wyrazem jednej i tej samej powierzchowności, o ile to, co powierzchowne, zaprzecza temu, co głębokie, to znaczy bytowi, a więc dobru.

Tak: *ten, kto posiadał jedną cnotę, posiada wszystkie, a ten, kto nie ma tylko jednej, nie ma żadnej*. Franciszek z Asyżu, który śpiewał w dialekcie umbryjskim piękne pieśni braciom-słońcom i siostram-wodom, a także braciom i siostram-dzieciom tego samego Jednoczyciela, mógł być przez to — bez dogłębnych studiów uniwersyteckich — najgłębszym człowiekiem swej epoki, albo — jak powiedział Chesterton — *największym demokratą wszechczasów*. Czy Chesterton nie przesadził nieco? Możliwe, że tak, ale jest również pewne, iż tylko człowiek tak kochający głębię, jak Franciszek, mógł rzeczywiście zająć tak daleko w budowaniu siły ludu, o wiele dalej niż mieszkańcy Asyżu.

Święty. Święty budowniczy. Pierwszą rzeczą, jaką uczynił Biedaczyna, było gorączkowe podjęcie budowania kościołów i miłości, kiedy zrozumiał, iż jego dawne, kłótlive i rozrzutne serce z czasów, gdy był młodzieńcem kandydującym do miana mieszczucha, było dla niego za małe. Podczas gdy człowiek zły zawsze wszystko niszczy, to wszystko, czego tylko dotknie ręka uświęconego, jest dobroczynne i rodzące twórczego ducha. Cóż czyni ten, na którego zstąpił duch świętości, jeśli nie buduje, czyli odpłaca dobrem za zło, uzdrawia, przydaje piękna temu, czemu brakowało piętna zbawienia? Nie będziemy się tu zastanawiać nad dobrem jako transcendentalem atrybutem bytu, takim, że im bardziej obfite jest imperium bytu, tym bardziej rozlewa się jego dobroć i większe jest jego piękno i twórcze możliwości; jednakże od tego należy wyjść, jeśli się chce rozważać olbrzymią moc eugeniczną świętoszków i prawdziwych świętych.

Rozważmy przykład demokracji. Jest ona wartością o wiele bardziej głęboką i uniwersalną niż się powszechnie uważa, polegającą przede wszystkim na zwiększonej zdolności do *przychylnego podejścia do rzeczywistości*, to znaczy kochania rzeczywistości kosmicznej za jej obfitość i dostatek. Na tym z kolei polega wszelkie autentyczne *odrodzenie albo risorgimento*: aby z nową

siłą pojawiło się to, co już istniało, ale tym razem na nowo oparte na głębi tego, co autentycznie głębokie.

Właśnie dlatego możliwe jest stwierdzenie, że doskonała demokracja, poza swym wymiarem parlamentarnym, może być doskonałą jedynie wtedy, gdy jest dziełem miłości, gdy wybacza obelgi, gdy uzdrawia u korzeni, gdy odpląca dobrem za zło i wreszcie gdy tchnie świętością. Doskonała demokracja — w Królestwie Bożym. Tam demokracja nie będzie zwykłym egalitaryzmem; będzie autentycznym *od-tworzeniem*, rekonstrukcją głębi, a więc również radością estetyczną, rekreacyjną w ludycznym znaczeniu tego określenia. Tam demokracja nie będzie zwykłym sumowaniem twarzy mniej lub bardziej anonimowych pod nieco tyrańską władzą praw liczb, jak powiedział hiszpański anarchista Ricardo Mella, lecz będzie radosnym uznaniem różnic stworzonych przez Tego, który wyznacza różnicę, angażując się miłośniczo w jej tworzenie.

Jest rzeczą oczywistą, że demokracja z nierównościami, ale bez uraz, gdzie Święty popiera i *od-twarza* to, co stworzone, jest właściwym miejscem pobytu i zamieszkania świętego, miejscem, gdzie będzie on czuł się jak w domu. Owernia będzie dla Franciszka miejscem opiewania chwały nieograniczonej bezinteresowności: *święty czyni z wilka przyjaciela, z jaskini dom, a z ręki pieaszczotliwą obecność*. Słynny „wilk” z Gubio — wilk prawdziwy, albo prawdziwy wilk pod postacią bandyty uprawiającego rozbój na drogach, przyjdzie, by jeść z ręki tego, który niczego się nie boi, bo tylko ten, kto się boi, powoduje napięcie w tym, o którym mówi, że się go boi, w nieskończonej spirali przemocy.

Radość rozpięra świętego demokratę: jak mógłby sprzyjać jakimkolwiek makiawelizmowi politycznemu, odbieraniu nadziei czy knowaniu, kiedy jego serce wypłenia miłość, miłość tak głęboko odczuwana, albowiem wie, że jest umiłowany przez Miłość? Serce wyrывa się z piersi świętego demokraty; jakże więc mógłby ón należeć do jakiejś partii, która przedkładałaby bezwzględne podporządkowanie dyscyplinie własnych szeregów nad uniwersalizację jego postępowania? Demokrat a święty mógłby czuć — jako człowiek — więcej sympatii do Platona niż do Arystotelesa, ale nie — nigdy — aż do tego stopnia, by przedkładać jednego czy drugiego nad prawdę. Mógłbym powtórzyć za klasykiem: *amicus Plato, sed magis amica veritas*.

Tak. Właściwością demokraty i świętego jest usunięcie tego, co dzieli we wszystkich parlamentach, bycie człowiekiem bezpartyjnym, zajęcie miejsca wśród twarzy, które nie czują się reprezentowane wtedy, kiedy prawda oszalała między twarzami sław-

nymi i utytułowanymi. W porównaniu z mówcą telegenicznym, wołanie świętego będzie często wołaniem na pustyni, kiedy nikt nie będzie chciał go słuchać, trochę tak, jak to było z Abrahamem, samotnie wspinającym się na Morię.

Podczas gdy polityk wywodzi się od Agamemnona, święty i demokrat (to ostatnie wyrażenie jest w istocie pleonazmem, bowiem wystarcza powiedzieć święty, by sama przez się narzucała się cecha demokraty) wywodzą się od Abrahama. Podczas gdy pierwszy rozprawia, stojąc przed ludem, któremu sprawiają przyjemność zachwyty nad cnotami rasy lub łagodnością obyczajów społecznych (które Hegel określił mianem *Sittlichkeit*), człowiek religijny musi czasami stanąć w obliczu Boga, jedyne Świadka jego głębi. Dla człowieka religijnego (i przez antonomazję, dla świętego) niebezpieczne byłoby akcentowanie dramatycznego charakteru tego spotkania, z podkreśleniem wymogu etycznego, ale z pominięciem ciepła tego spotkania, ufającego w pociechę religijną. Kiedy podkreśla się wymóg, dochodzi do wynaturzenia religijności, która staje się moralizmem; kiedy utrzymuje się wymóg, ale wychodząc od uznania boskiego i łaskawego ojcostwa, wówczas nakazem staje się pociecha, a więc modlitwa i głęboka epikleza, pochwała za „wymagający” odpoczynek.

Święci budowniczoje pokoju. Ale czy można budować coś innego niż pokój? Czy można budować przy pomocy wojny? Nic bardziej zwodniczego i obrażającego, jak stary apoftegmat o militarystycznych korzeniach: *si vis pacem para bellum*. Powiedzenie: „jeśli chcesz pokoju, gotuj się do wojny”, jest tak komiczne, jak powiedzenie: „jeśli chcesz utrzymać czystość, rób wszystko, by nabrudzić” Bardzo brudne musi być społeczeństwo, które — by zachować wspólne brudy i zadbać, by nikt nie wyróżniał się czystością — zaleca zrównanie wszystkich w dół, do tego, co obrzydliwe.

Święty wie, że nie ma innego budowania pokoju, jak tylko przez pokój, i dlatego idzie przez życie ze świętym sztandarem, na którym widnieje: *si vis pacem para pacem*. *Pokój można tylko budować, a budować można tylko w pokoju*. Znajdzie się zapewne ktoś, kto w tym momencie, kierując się swym archimózgiem, przypomni sobie szcwanego lisa i zabiegać będzie o to wszystko — tak stare, tak przestarzałe, tak wiadome i znane — co odnosi się do cieszącego się smutną sławą „realizmu politycznego”, którego początków należy szukać przed i po Machiavellim. Ten ktoś, być może, będzie starał się o przewodzenie jakiemuś klubowi wojskowemu (NATO, Układowi Warszawskiemu, albo tyłu, tyłu wojskom „regularnym” i „nieregularnym”, zawsze złym, a ni-

gdy dobrym), ale oczywiście nie uczyni nic na rzecz budowania pokoju w świętości.

Do prawdy nie dochodzi się inaczej, jak przez miłość, zawsze konstruktywną, nigdy destruktywną. Święty, budowniczy pokoju — przez antonomazję, będzie stosował *rozbrojenie jednostronne* w przekonaniu, że jeśli koniec końców jest się prawie zawsze jednostronnym, to warto przynajmniej być nim w pełni w wielkich prawach, *które zawsze są rozbrojone, bezbronne*.

Doszedłszy do tego miejsca, uświadamiam sobie — doświadczenie zobowiązuje — że czytelnicy usposobieni mniej lub bardziej wojowniczo, albo będący „po prostu realistami”, zaczną marszczyć brwi, a nawet pomyślą, że artykuł ten napisany został albo przez świętego (rzecz bardzo wątpliwa), albo przez niebezpiecznego lewicowca (rzecz równie wątpliwa), bo tym, co najbardziej przeszkadza politycznemu realizmowi, albo zwolennikowi wojny, to fakt, że kiedy mówi się o *budowniczych pokoju*, zawsze kończy się na mówieniu o likwidacji broni, co — jego zdaniem — jest zazwyczaj ulubionym sportem świętych, albo lewicujących szaleńców.

Jednakże nawet gdy się przyjmie, że pokój nie jest tylko nieobecnością wojny lecz zakłada postawienie na demokrację w wyżej przedstawionym, głębokim znaczeniu tego wyrazu, to znaczy na miłość do Miłości, wylewającą się w postaci pełnego miłości stosunku do wszystkiego, co rzeczywiste, z pewnością ów, pełen miłości stosunek nie może odwoływać się do wojny jako swej przyczyny, ani nie może zakończyć się wojną jako swym skutkiem; nie może traktować wojny jako środka do realizacji swych przesłanek, ani zakładać możliwości jakichkolwiek wojowniczych wypowiedzi, bo liczyć najzwyczajniej na wojnę jako na możliwość osiągnięcia dobra — to zapominać o najbardziej podstawowych prawdach o działaniu miłości.

Nic bardziej obcego świętemu, jak postępowanie bratobójcze, czysto kainowe, czy też adamowe. Jeśli wojna istnieje, to dlatego, że nie istnieje wówczas człowiek. Święty nie tylko odrzuca wojnę lecz także — co jest naturalne — *wskazuje drogę pedagogiczną, środki lub wskazówki pedagogiczne, niezbędne do przywrócenia pokoju zarówno w życiu zewnętrznym, jak i w wewnętrznej postawie każdej osoby. U progu roku 2000 brakuje wielu świętych: potrzeba wielu nowych i twórczych świętych, których życie rozjaśni nasze codzienne stawanie się i będzie dla niego stanowić przykład. Panteon świętych nie jest kompletny, cmentarze ciągle czekają.*

Prowadzi nas to — jakby mimochodem i w sposób nie przeko-

nywający, ale jednak prowadzi — do zakwestionowania pewnych stylów życia, które były historycznie uważane za święte, ale dziś nam się takimi nie wydają. *Mówiąc krótko i nieco brutalnie: nie ma nic mniej świętego niż owe słynne święte wojny, albo wojny za takie uważane.* Wielu z tych, którzy angażowali się w „czynienie chrześcijaństwa” przy pomocy miecza, czyniło to, być może, z wielkim przekonaniem wewnętrznym i z tego punktu widzenia nikt nie mógłby ich osądzać. Jednakże (wykazując minimum zaufania do historii — jeśli można to tak wyrazić — i zawierając w pewnym stopniu wysiłkom ludzi pragnących kroczyć na przestrzeni dziejów w jednym kierunku) biorąc pod uwagę ewolucję historyczną, traktujemy dziś wojnę jako wyraźnie bezwartościową, to znaczy wymierzoną w to, co najbardziej godne w ludzkości.

Jest rzeczą jasną, że kierując się tą drogą, ryzykujemy, iż będziemy niesprawiedliwi wobec przeszłości, oceniając z punktu widzenia terażniejszości to, co odbieramy z innej perspektywy historycznej. Takie postępowanie, które osądzono pod nazwą *historycyzmu*, nie powinno być akceptowane. Ale z drugiej strony obowiązkiem każdego człowieka jest również ocenianie historii przy pomocy ruchomych kategorii i branie pod uwagę faktu, że elementy, które w pewnym momencie były uważane za aksjologicznie poprawne, mogą okazać się niepoprawne, co uznali fenomenologowie wartości. A więc pewien ograniczony historycyzm można pogodzić z wolnym i twórczym charakterem historii ludzkiej w jej stopniowym stawianiu się bardziej racjonalną i bardziej wyzwalającą.

Obecnie zdajemy sobie sprawę z tego, iż nie można budować pokoju, jeśli nie jet to *pokój połączony z rozbrojeniem*, co rozumieć należy w pełnym tego słowa znaczeniu: odreagowując odpowiednio wewnętrzną agresywność bez przekształcania jej w przemoc oraz likwidując przemoc zbrojną. Chociaż my, chrześcijanie, nie uważamy ich za świętych, należy uznać, że postacie historyczne, które pozostawiły trwałe ślad w historii i cenione są przez wszystkich ludzi dobrej woli, takie jak: Martin Luther King, Lansa del Vasto, Mahatma Gandhi i inne, są z szacunkiem traktowane jako budowniczości pokoju, choć pozornie przegrali, albo nawet pomimo tego, że niejeden z nich dokonał żywota w sposób prawdziwie tragiczny.

Święci budowniczości pokoju wiedzą, że pokój jest alopacyjnym lekarstwem na *Thanatos* i że należy postawić raczej na gołębia niż na drapieżnego ptaka, kiedy zdecydowanie stawia się na pokój. Święty jest całkowicie przekonany o tym — a to proste przeświadczenie — nieco tajemnicze — bierze swe korzenie z Gol-



goty, że słabość gołębia przewycięży gwałtowność drapieżnika, to znaczy, że siły zła nie zyskają przewagi nad miłością, która naznaczona jest zawsze piętnem słabości (kochać, to stać się słabym) i z tej słabości czerpie siłę.

Współczesna genetyka społeczna (która nie wydaje mi się wcale teoretyczną konstrukcją wprowadzoną w ruch przez święte mózgi) uznaje w każdym razie, że społeczeństwo mające trzy rodzaje „genów” (moglibyśmy je nazwać genami zachowań) składających się na osobowość — genów charakterystycznych dla ludzi naiwnych, którzy odpłacają dobrem za zło; genów zawziętości, obdarzonych hipermnezyczną pamięcią i odpłacających za zło dokładnie taką samą dawką zła; i genów podstępny, genów egoistów, którzy za wszelką cenę odpłacają za dobro złem, pomimo iż obiecują coś innego — czy też na nasze postępowanie, społeczeństwo, w którym dominowałiby ludzie agresywni, stosujący przemoc i drapieżni, takie społeczeństwo zginęłoby, albowiem na dłuższą metę może przeżyć jedynie najsilniejszy. Byłoby przyjemniej żyć w społeczeństwie, w którym dominowałaby współpraca, wzajemna pomoc (marzenie wielkich myślicieli anarchistycznych, takich jak na przykład Kropotkin) i wzajemna troskliwość.

W ostatecznym rozrachunku chodzi tu o *kryterium racjonalności*, jakie należałoby przyjąć, *kryterium*, którego być może nie uda się wyrazić *explicite*, i pozostanie ono wartością *implicite*, jeśli święty nie jest intelektualistą (nawiasem mówiąc, intelekt i świętość nie mają powodu, by pozostawać w relacji rosnącej wrogości). Oto więc kryterium racjonalności świętego budowniczego pokoju: czysty rozum, przeżywany jako czysty rozum praktyczny i wyrażony w formie racjonalności estetycznej, deklaruje swą wolę *odpłacania za zło dobrem, przebaczenia zniewag, miłowania Boga ponad wszystko, a bliźniego swego jak siebie samego, głoszenia chwały stworzenia, w którym odkrywa się ślad Stwórcy*. Przyjmując to kryterium, odkrywa się, iż być świętym budowniczym pokoju, to nic innego, jak być chrześcijaninem wiernie naśladowującym Chrystusa. Wszystko jedno jak na to spojrzemy — zawsze dojdziemy do tego samego wniosku: również dla świętego, właśnie dla niego, nie ma innej drogi niż Droga, nie ma innej prawdy niż Prawda, nie ma innego życia niż Życie, nie ma innej rzeczywistości niż ta, która realizowana jest w Rzeczywistości, jaką jest Jezus z Nazaretu z Jego śmiercią i zmartwychwstaniem.

W agnostycznym i postmodernistycznym klimacie wielkiego miasta — a zwłaszcza w środowisku uniwersyteckim — nie jest czymś rzadkim znalezienie młodych inteligentów, którzy nie są

zadowoleni ze swego sposobu życia i którzy byliby gotowi budować pokój (duża ilość grup pacyfistycznych stanowi oczywisty, choć nie jedyny dowód na to, o czym tu mówimy), mają bowiem dosyć irracjonalności wojowniczych przemówień, polityk gospodarczych, nastawionych na wojnę, i braku jakichkolwiek planów na rzecz braterstwa. Ale w takim razie co powstrzymuje ich przed przyłączaniem się do budowy pokoju o profilu chrześcijańskim? Wielki znak zapytania stanowi problem, czy Kościół, otoczony tyłoma świętymi z przeszłości, powinien zająć się swymi obecnymi świętymi, działającymi, takimi, których możemy spotkać na ulicy, żywych, zwyczajnych. Jeśli rzeczywiście bylibyśmy dziś w stanie znaleźć klucz do odpowiedzi na to pytanie, Kościół stałby się dla tych młodych ludzi autentyczną instytucją wielkiego znaczenia i zrozumiałby jednocześnie, co to jest znaczenie instytucji.

Oczywiście nie byłoby to wystarczające, ale stanowiłoby warunek konieczny. Jednocześnie należałoby stworzyć pewnego rodzaju globalną kulturę chrześcijańską, zdolną do wpasowania pracy na rzecz pokoju w szerokie ramy wyznaczone przez Błogosławieństwa, tak by ukonstytuowała się ona w podmiot historyczny. Już w szkołach i przedszkolach oraz na łonie rodziny trzeba pracować nad tworzeniem społeczeństwa „pokojowego”, a nigdy „wojowniczego”; pracujmy więc nad dzieciństwem bez broni, krytycznym i aktywnym: ukierunkowanym na niestosowanie przemocy wobec zła, którego głównym celem jest sianie grozy.

Nie ma pokoju bez życia. Pacyfizm i ekologizm idą w parze, dążą bowiem do tego, by ziemia zaowocowała tam, gdzie wypala ją niszczycielski nuklearyzm, i do tego, by przyszłe pokolenia odziedziczyły świat na nowo czysty i upiększony. Taki *ekopacyfizm* nie powinien się izolować, jakby chodziło o rzeczywistość bukoliczną. Należałoby przedtem przyjąć wielkie wyzwanie pracy społecznej i zaangażowania w każdą słuszną sprawę walczącej ludzkości, jeśli nie chcemy przekształcić *habitat* w wieś, lecz dążyć do stworzenia demokracji osobistej, zdobyć siłę konieczną do tego, by powitać na zasadach równości rzeczywistość kosmiczną i pogodzić wszystkich braci wilków, którzy żyją na świecie, albo przynajmniej w pobliżu miejsca naszego zamieszkania. W obliczu tego wyzwania nie wystarczy jakakolwiek forma ekologizmu, zoologizmu czy terracentryzmu; z naszego punktu widzenia nie może bowiem istnieć ekologizm bez personacentryzmu, co nie daje jednakże człowiekowi prawa do dewastacji przyrody, wbrew temu, co utrzymywało prawo rzymskie, nie takie znowu godne szacunku.

Wierzący, skoncentrowany na Bogu, sytuuje w centrum pacy-

fistycznego rozumowania: człowieka, *cel sam w sobie*, choć nie kres siebie samego, kres, który wierzący widzi jedynie w Bogu. Nie istnieją również przyczyny historyczne, autonomiczne w stosunku do człowieka. Żadna racja stanu, ani żadna inna racja nie może być urzeczywistniona niezależnie od człowieka, albo wbrew niemu. Poza tym mamy nadzieję, że ten, kto pragnie dobra, otworzy się na Dobro, bo religia jest afirmacją Absolutu-Boga uobecnionego w życiu ludzkim, to znaczy absolutną afirmacją człowieka w świetle Boga. Religia, istniejąca niezależnie od *humanitas* lub „leżąca odłogiem”, pozostałaby czymś pustym. Z kolei każda poważna kultura powinna prowadzić do pewnej religijnej wizji rzeczywistości co do swej ostatecznej intencjonalności i uzasadnienia. Zgodnie z tym, koncepcja bytu ludzkiego, odrzucającego Absolut, oznacza ryzyko paktowania z czymś sztucznym. Bez uznania tego, co boskie, zaciemnia się uznanie tego, co ludzkie.

Do tego wszystkiego potrzebna jest oczywiście miłość, a kwintesencją miłości jest miłość wielkoduszna. Nieprzypadkowo wielcy święci budowniczy pokoju posiadali szczególne poczucie rzeczywistości, a więc także humoru. Powtórzmy za Franciszkiem z Asyżu, małym wielkim świętym: Witaj humorze, niech będzie pochwalony Brat Humor, teraz i zawsze.

tłum. Grzegorz Ostrowski